



Wielka aktorka,
świetna pisarka
i poetka, odważna
kobieta. Ponad 70 lat
grała w warszawskim
Teatrze Polskim.

Wcielała się
we władczynię
i romantyczne
amantki, role Świętej
Joanny, Dulskiej i Pani
Warren.

Na zdjęciu w głębi
rzeźba, do której
pozwolała



BYLIŚMY
ISTOTAMI
NIE Z TEJ ZIEMI

Już wtedy, gdy studiowała w szkole dramatycznej, surowy dyrektor Aleksander Zelwerowicz dostrzegł w niej gwiazdę. W latach 30. młoda aktorka oczarowała warszawskie salony, zachwycali się nią skamandryci. Na zdjęciu obok jako Królowa Mody na balu w 1937 roku. Poniżej 16-letnia Nina sama dla siebie gra Ofelię w ogrodzie bobci w Brześciu nad Bugiem



*Jakże mam nie wierzyć w miłość, skoro przez 50 lat o jednym mężczyźnie wiersze piszę?
– mówi Nina Andrycz, aktorka.*

TEKST **MONIKA GŁUSKA-BAGAN** FOTOGRAFOWAŁ **GRZEGORZ BŁAŻEJCZYK**

Wina? – pyta. Nie przyjmuje tłumaczenia, że przyjechałam samochodem i nalewa kieliszek czerwonego chablis. – Łyk. Dla odwagi. Sama też trochę się napiję. Dziennikarka – siła wyższa – tłumaczy gosposi.

Piękne dłonie z pierścieniami stawiają na stolyczku dwa kryształowe kieliszki. Mieszkanie w samym centrum Warszawy urządzone jest ze smakiem, ale bez przepychu. Przedwojenne biurko, barek, okrągły stół i mały stolik, przy którym właśnie siadamy.

Patrzy na mnie z uwagą, gęste jasne włosy opadają na ramiona. Porusza się energicznie, z podniesioną głową, prostymi plecami. Jest ubrana w ciemny sweter-tunikę, czarne spodnie i szpilki. Trudno uwierzyć, że skończyła 92 lata.

– Proszę obejrzeć portrety, malowali je dla mnie świetni artyści – mówi z charakterystycznym kresowym akcentem, lekko przeciągając sylaby. Mówi barwnie, rzuca anegdoty, żartuje. Perfekcjonistka, także w rozmowie dąży do jak największej dokładności.

– To 1959 rok, moja Maria Stuart – pokazuje mi czarno-białe fotografie. – A to dziesięć lat później, Kleopatra, zagrałam ją 150 razy. Widzi pani, a upływu lat nie widać. Czas obchodzi się ze mną łagodnie. Nigdy nie zrobiłam sobie liftingu. Potem twarz wygląda sztucznie – dodaje i wyjmując kolejne zdjęcie. – O, tu na balu w Pałacu Lubomirskich, lata siedemdziesiąte.

Piękna kobieta w długiej sukni stoi na schodach tyłem, tylko głową zwrócona w stronę obiektywu. Olbrzymi dekolot odkrywa plecy. Wygląda najwyżej na trzydziestolatkę. Czyżby Nina Andrycz wypila eliksir młodości?

– Jest nadal bardzo piękna, ma śliczny kształt głowy, rysy – opisuje ją Xymena Zaniewska, scenograf, która z aktorką pracowała wiele lat, przygotowując spektakle Teatru Telewizji. – W pracy zawsze zdyscyplinowana. Doskonale się z nią rozmawia i słucha o jej barwnym życiu.

– Pani Nina robi niesamowite wrażenie – opowiada Daria Widawska, aktorka. – Razem grałyśmy w przedstawieniu Esther Vilar „Królowa i Szekspir” w reżyserii Marcela Kochańczyka. „Bałam się pierwszego spotkania, bo krąży opinie, że jest ostra. Tymczasem okazała się przyjacielska, ciepła. Zlustrowała mnie i powiedziała: „Dobrze, że taka pani wysoka”. Świetnie się z nią pracuje. Gdy jeździliśmy z przedstawieniem po Polsce, żadna droga nie była dla niej zbyt męcząca. Przebywanie z Niną Andrycz uczy pokory i szacunku wobec zawodu aktora. Widziałam, jak po spektaklu ludzie padali przed nią na kolana.

ZELWEROWICZ DOSTRZEĞŁ GWIAZDĘ

– Zdjęć z czasów, gdy byłam dzieckiem, nie posiadam – oświadcza Nina Andrycz. – Jeśli są, to gdzieś na Ukrainie.

Miała dwa lata, kiedy z matką pojechała w odwiedziny do krewnych w Kijowie. Po tygodniu dołączyła do nich babcia, która tęskniła za jedyną córką i wnuczką. W Rosji wybuchła rewolucja 1917 roku i granice szczelnie zamknięto. Bogaci krewni z dnia na dzień zmienili się w żebraków. Dwie kobiety i dziewczynka spędziły w ZSRR dziesięć lat.

– Mama wykazała się charakterem, który po niej odziedziczyłam. W młodości ukończyła instytut dla szlachetnie urodzonych dzieci. Niech pani koniecznie zapisze pełną nazwę szkoły – śmieje się, akcentując słowo „dziewice”. – Znała trzy języki, więc okazała się potrzebna tym chamom jako tłumaczka.

Dziewczynką zajmowała się babcia. Ludzie w Kijowie permanentnie nie dojadali, za to władza dawała abonamenty do opery, na przedstawienia i dożywiała artystów, by mieli siłę grać. Babcia Niny zabierała wnuczkę do teatru. Po tym, jak ta obejrzała pierwszy w życiu spektakl, w nocy dostała wysokiej gorączki. Z zachwytu i oszołomienia. W sowieckiej podstawówce natychmiast wstąpiła do kółka recytatorskiego. Zauważyła, że występując, zdobywa władzę nad rówieśnikami. Chyba już wtedy przeczuła, że kiedyś zostanie artystką. Do Polski babcia, mama i Nina wróciły dzięki ojcu. To on z pomocą wuja dyplomaty odszukał je i załatwił przejazd przez granicę. Uczynił to w ostatnim momencie, bo w Związku Radzieckim zaczynał się już stalinizm. Rodzina zamieszkała w sennym kresowym Brześciu nad Bugiem. Stamtąd Nina wyruszyła na egzaminy do Warszawy, do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Kiedy na drugim roku wygrała konkurs na najlepiej zagraną rolę Ofelii w „Śmierci Ofelii” Stanisława Wyspiańskiego, surowy dyrektor szkoły Aleksander Zelwerowicz dojrzał w dziewczynie przyszłą gwiazdę.

NIESPEŁNIONA MIŁOŚĆ

Podczas naszej rozmowy światło z telebimu naprzeciwko okien mieszkania aktorki emituje reklamy.

– Dzięki temu jest jaśniej – mówi i pyta niespodziewanie: – A spod jakiego znaku zodiaku pani jest?

– Koziorożca – odpowiadam.

– Jestem Skorpion, a on ufa Koziorożcowi. To ludzie sumienni i wiem, że wykonują, co trzeba. Dla mnie Rak najlepszy, bo romantyczny.

– Czy wierzy Pani w miłość? – pytam.

– Jakże mam nie wierzyć, jak przez 50 lat wciąż o jednym mężczyźnie wiersze piszę?

Czy mówi o Aleksandrze Węgierce, wybitnym aktorze i reżyserze? W powieści Niny Andrycz „My rozdwojeni”, zawierającej autobiograficzne wątki, autorka nazywa go Albertem Bogotą. Fabuła obejmuje zaledwie siedem lat, od 1932 roku – gdy Anna Gotard, pseudonim aktorki w powieści, zdaje do szkoły teatralnej – do wybuchu drugiej wojny światowej. W tym czasie w życiu bohaterki najważniejsze są pasja teatralna i niespełnione uczucie.

– Tak naprawdę nigdy nie poznaliśmy się w codziennych sytuacjach. On miał żonę. W naszym związku liczył się tylko artyzm, jakieś szalone porozumienie dusz i ciał. I tak już do końca zostaliśmy istotami nie z tej ziemi.

Aleksandra Węgierkę zamordowali Niemcy, prawdopodobnie w Brześciu nad Bugiem. W miasteczku, w którym wychowywała się Nina Andrycz.

Teraz aktorki
ciągle
ROZBIERAJĄ SIĘ
na scenie,
pokazują piersi,
nogi. Pytam:
PO CO?

Artystka lubi być adorowana. Wielbiło ją i kochało wielu mężczyzn, ale wyszła za mąż tylko raz. Za Józefa Cyrankiewicza, premiera PRL-u. Do teatru przysyłał jej herbaciane róże. Szybko poprosił o rękę. Cyrankiewicz był bardzo przystojnym, eleganckim mężczyzną, a ich małżeństwo sensacją. Po Warszawie krążyły legendy, że gdy premier przejeżdżał służbową limuzyną obok gmachu Teatru Polskiego, gdzie występowała żona, uchylał kapelusza. – Obiecałam mężowi, że nigdy nie będę opowiadać o nim publicznie – podkreśla aktorka. – Słowa dotrzymuję, choć on nie żyje od prawie 20 lat. Dziś uważam, że małżeństwo było udane. On zaakceptował już na początku, że najważniejsza jest dla mnie praca.

Jako żona premiera jeździła po świecie, poznawała polityków, koronowane głowy. Twierdzi jednak, że władza jej nie imponowała, nigdy też z niej nie korzystała. Mężowi podobano się, że ona niczego nie żąda. Miała zawsze liberalne, raczej lewicowe poglądy. Poza tym doskonale rozumiała, że wszystko można w jednej chwili stracić. Nie lubiła też bywania, unikała rządowych przyjęć.

Podczas gdy jej kariera artystyczna rozwijała się, mąż czuł się coraz mniej potrzebny w rządzie. Kiedy miał problemy, uciekał w alkohol lub szybką jazdę samochodem. – Składałam sobie gratulacje, że wybrałam sztukę – mówi Nina Andrycz. – Ona mnie zawsze ratowała.

Artystce pomagało też pisanie. To jej druga, wielka pasja. Po wydaniu kilku powieści i tomików wierszy uważa, że ma prawo mówić o sobie: poetka, pisarka. Pisała od zawsze i długo do szuflady. Ośmielił ją Jarosław Iwaszkiewicz. Zaprzyjaźnili się jeszcze przed wojną, kiedy zagrała w jego sztuce „Lato w Nohant”.

Zawsze odważnie mówiła o braku instynktu macierzyńskiego. Tak, nie ma dzieci. Uważa, że nie była powołana do bycia matką.

– Jak się było podwójnie zajęta, pełniło obowiązki pierwszej damy i pracowało, to jakże jeszcze dzieci rodzić? – pyta aktorka. – Nawet dziś za te wyznania dostaje mi się od różnych kołtunek. To śliski temat w naszym społeczeństwie. I ja nie wierzę w optymistyczne zapewnienia aktorek, że świetnie sobie radzą i z pracą, i z wychowaniem dzieci. Nie powiem, że kłamia, ale na pewno koloryzują. Największą gwiazdą w historii teatru była dla mnie Eleonora Duse. Urodziła córkę, a ponieważ ciągle krążyła po świecie i grała, musiała ją zostawić na wychowanie w klasztornej szkole. Nieszczęśliwe było dziecko, a ona miała wyrzuty sumienia.

Artystka, podobnie jak bohaterka sztuki „Lustra”, którą dopisała do jednoaktówki Andrzeja Kondratiuka „Królowa” i którą później razem wystawili w Teatrze Polskim na jej jubileusz, mówi: „Jak się jest naprawdę gwiazdą, to się nie rodzi dzieci, rodzi się rolę”.

RAZ OBRANA DROGA

Przepracowała prawie 70 lat w Teatrze Polskim. Wchodziła do swojej garderoby numer 15, zapalała światło i kilka godzin była sama na sam ze sceniczną bohaterką. Do każdej roli przygotowywała się perfekcyjnie. Traktowała zawód jako misję społeczną.

Elżbieta Protakiewicz, reżyser, zafascynowana aktorką zrealizowała o niej film dokumentalny „Królowa”. Tytuł ten przyłgnął bowiem do Niny Andrycz ze względu na jej repertuar. – Choć jest wielką gwiazdą, słucha reżysera, zawsze punktualna, sumienna – opowiada Protakiewicz. – We wszystkim, co robi, jest znakomita. Brawurowo grała tak różnorodne role, bo umiała się liczyć z upływem czasu. Z heroin, romantycznych władczyń, miłośniczką przeszła do takich mieszczynek jak Pani Dulska.

Niedawno zagrała sto przedstawień w Teatrze Kameralnym w „Krzyszłach” Eugène’a Ionesco, wyreżyserowanych przez Macieja Prusa. – Nikt nie zagrał tyle razy – mówi. – A sztuka jest trudna. Wymaga bardzo inteligentnego widza. Nie chwając się, wychowałam trzy pokolenia widzów. Doskonale czułam się w rolach ukazujących konflikt, walkę z losem. Dlatego tak często grałam kobiety o silnej indywidualności. Teraz aktorki ciągle rozbierają się na scenie, pokazują piersi, nogi. Pytam: „Po co?”. Tak naprawdę są ze dwie, trzy role, w których rzeczywiście trzeba się rozebrać.

Często po spektaklu miała ochotę wejść do Kameralnej na kieliszek koniaku, ale mówi, że byłoby to źle odebrane. Od razu doczepiono by jej etykietkę: „Pewno szuka mężczyzny”, więc szła do domu. – U nas to normalne, że gdy kobieta przyjdzie sama na przyjęcie, mówi się: „Nikt się nią nie interesuje”, a jak z kimś, to jest o czym gadać, plotkować – dodaje.

Nina Andrycz cały czas występuje. Ostatnio zagrała w przygotowanym przez reżysera Jacka Bławuta filmie o Domu Artystów Wetera-

nów Scen Polskich w Skolimowie. Teraz zastanawia się nad propozycją roli u Krzysztofa Zanussiego. Oprócz tego prowadzi wieczory poetyckie, występuje na koncertach.

– Oczywiście, że mam adoratorów – mówi aktorka. – Rywalizują o mnie, przynoszą kwiatki. Czasem chodzę z nimi do kina, na przykład na stare filmy z Polą Negri, potem dyskutujemy o jej grze.

– Nina jest nadal bardzo aktywna towarzysko – twierdzi Xymena Zaniowska. – Dzwonimy do siebie i spotykamy się parę razy w roku. Kiedyś, gdy miałam życiowe problemy, bardzo mi pomogła. Byłam zaskoczona, bo wydawało mi się, że jest szalenie skąpiona tylko na siebie. Tymczasem ona, wbrew pozorom, umie słuchać. Jest dobrym człowiekiem, choć oszczędna w wyrażaniu uczuć.

Często po spektaklach podchodzą do niej widzowie. Młode kobiety proszą o adres, telefon, potem piszą listy, pytają o życiowe sprawy. Ona nie boi się udzielania rad w stylu: „Ja bym go wyrzuciła za drzwi”. Słynie z odważnego wygłaszania sądów. Przyznaje, że właściwie nikt i nic nie było w stanie zawrócić jej z obranej drogi. Dziś powtarza za Edith Piaf: – Niczego nie żałuję... Niczego. ■

